

29/08/2022 13:02, aktualizacja: 14/09/2022 09:08 | Zamieścił: Agnieszka Bogucka

"Maluchem" na wczasy



Jarosław Szulecki/East News

Autor: Witold

Jest kilka rzeczy, które kojarzą się z letnim wypoczynkiem sprzed lat: melodia Polki Dziadek rozpoczynającej „Lato z radiem”, dźwięk odbijanej piłeczki ping-pongowej czy brzęk aluminiowych rurek namiotu. To też smak konserwy turystycznej i szum grzałki podgrzewającej wodę.

Urlop wypoczynkowy dla pracowników umysłowych wprowadzono w międzywojniu. Po roku pracy przysługiwał miesiąc wolnego.

Miesiąc na letnisku

„Spędzenie miesięcznego urlopu w dusznej Warszawie praktycznie nie było w tamtych czasach możliwe – zarówno obyczajowo, jak i fizycznie przebywanie w mieście podczas urlopu było męczące i wręcz niestosowne. Z urzędniczej pensji bardzo trudno było opłacić rodzinny wyjazd za granicę, skomplikowany dojazd i wysokie ceny często stawały na przeszkodzie podróżom nad morze czy do Zakopanego. Najczęściej zamożniejsi robotnicy i niższa klasa średnia, tzw. inteligencja pracująca, wybierali więc podwarszawskie letniska, które wyrastały jak grzyby po deszczu na rozparcelowanych gruntach ziemskich”

Zofia Rojek, Anna Zdanowska, „Letniska”, wyd. Muzeum Warszawy, 2022.1

Sezon letniskowy trwał od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Wczasowicze wynajmowali domek na kilka tygodni, czasem nawet na całe lato. W wielu przypadkach odpoczywała w nim jedynie matka z dziećmi, a zapracowany mąż przyjeżdżał tylko na weekend. Najbardziej popularnymi były Falenica, Józefów i Otwock, które tak naprawdę powstały jako miejscowości letniskowe. Letniskami były także Wawer, Wesoła i Anin oraz Milanówek, Celestynów i Radość.

Obywatel ma prawo do wypoczynku

Już w 1945 r. powołano Fundusz Wczasów Pracowniczych – organizację, która wysyłała ludzi pracy na wczasy. Wspólnie wyjeżdżał na nie zakład pracy, nierzadko kilka przypadkowych osób nocowało w jednym pokoju lub domku letniskowym. Pomimo wszystkich niedogodności pracownicze wczasy często okazywały się wybawieniem dla wyczerpanych pracą ludzi.

– Robotnicy nie byli reprezentowani w takim stopniu, jak by sobie życzyła władza ludowa, ale bez wątpienia wprowadzono w krąg takiej aktywności ludzi, którzy wcześniej nigdzie nie wyjeżdżali, a już na pewno na wczasy – mówił prof. Paweł Sowiński w audycji Agaty Kwiecińskiej i Michała Nowaka z cyklu „Za kurtyną PRL-u”

„Wczasy w PRL – zorganizowany wyjazd o smaku paprykarza”, polskieradio.pl/2

Legendarna postać tzw. kaowca (instruktora kulturalno-oświatowego) w latach 50. była obowiązkową figurą na każdym wczasach.

– Kaowiec doradzał ludziom, którzy nigdy nie odpoczywali, w oswojeniu się z tą ideą. To byli często ludzie, którzy mieli obawy, nie wiedzieli jak chwycić nóż i widelec, jak się zachować w stołówce, jak się ubrać. Kaowiec organizował im czas – dodaje **tamże3** prof. Sowiński. W 1977 r. z wczasów pracowniczych skorzystało 4,7 mln pracowników i ich rodzin.

Tetris, czyli jak spakować się do „malucha”

Znaczna część Polaków wybierała się jednak na wczasy na własną rękę. Czasem była to wynajęta kwatery u znajomego mieszkającego na wsi albo po prostu pole namiotowe. I tak jak w przypadku wypoczynku zorganizowanego była to opcja – jak byśmy dziś powiedzieli all inclusive – to indywidualne wyjazdy były tego całkowitym zaprzeczeniem. Należało zabrać... wszystko. Dosłownie, wszystko. Oczywiście sprzęty były w wersji turystycznej, ale jeśli pakujemy na wyjazd pościel dla kilku osób, meble i butlę gazową, to jednak świadczy o skali przedsięwzięcia. Tobo! wychodził z tego potężny, a miejsce w i na samochodzie było ograniczone. Pakowanie to była „wyższa szkoła jazdy”, bo chodziło nie tylko o to, aby zabrać wszystkie niezbędne rzeczy, ale też o przemyślane rozmieszczenie bagażu. Obciążenie musiało być w miarę równomiernie, bagażnik na dachu obłożony nie za wysoko, wszystko z uwzględnieniem praw fizyki.

„Należało wykorzystać w samochodzie każdą wolną przestrzeń, każdy zakamarek. Na bagażnik dachowy wędrowały stolik i krzeselka campingowe, namiot, torba z pościelą, przekładane materacami, śpiworami i ręcznikami, w foliowym nieprzemakalnym opakowaniu. Wszystko możliwie płasko przytrzymane, bo maluch za mały, żeby go wypiętrzyć. Do zaledwie stulitrowego bagażnika samochodowego pakowałam żywność: puszki szynki i gulaszu, w termosie masło, w słoikach zatopione w smalcu pieczony schab i cielęcinę, suchą wędlinę, w kubie jaja natarte smalcem i każde owinięte w papier, paczkowany ser biały i żółty, herbatę w torebkach i rozpuszczalną kawę inkę, słodycze (piernik plus coś, co się nazywało mazurki bakaliowe), zapas cukru i soli, pieczywo na drogę. Do wnętrza auta szła reszta, w miękkich torbach upychana przeróżnie: letnie i plażowe ciuchy, ale i dresy na chłodniejsze dni i noce, koce, zastawa stołowa i sztucce, aparat fotograficzny, a później i kamera, leki na zaziębienie i kłopoty z brzuchem itd.”

Kazimierz Kunicki, Tomasz Ławecki, „Maluchem do raj. Czym i jak podróżowano w PRL-u?”, Wydawnictwo Bellona, Ożarów Mazowiecki 20204

Kolonie – doświadczenie pokoleniowe

„Złota era” wyjazdów kolonijnych przypadła na lata 70. XX w. W 1975 r. z programu skorzystało 7,6 mln dzieci. Najczęściej organizatorem były zakłady pracy rodziców, a dzieciaki kwatrowane były m.in. w szkołach, które w wakacje stały przecież puste. Z perspektywy dzisiejszej młodzieży warunki zakwaterowania na koloniach mogą wydawać się koszmarnie: szkolne klasy zaadaptowane na wieloosobowe sypialnie, jedna łazienka, telewizor w świetlicy. Ciuchy trzymane w walizce, pranie suszone na ramie łóżka, wędrowki z mydelniczką i ręcznikiem na drugi koniec korytarza do jedynej damskiej łazienki na piętrze, kontrole czystości.

– Nie przepadałam za wyjazdami z tłumem obcych dzieci, w nieznane miejsce – mówi pani Katarzyna Gajewska z Warszawy, rocznik 1974. – Zanim towarzystwo okrzepło i się zgrało, musiało minąć parę dni. Wtedy kolonie trwały 3 tygodnie, więc mieliśmy czas się poznać. Raz było lepiej, raz gorzej, jak to w relacjach z ludźmi. Ale oczywiście, pod koniec turnusu ryczałam, że to koniec i że już mi nigdy i nigdzie nie będzie tak fajnie – dodaje ze śmiechem.

Jednak była łózka dziegciu w realizacji tego programu – nie objął on wsi. Szacuje się, że aż 95 proc. dzieci z obszarów wiejskich nigdzie nie wyjeżdżało na wakacje. W indywidualnych, czy raczej rodzinnych, gospodarstwach rolnych ich pomoc była niezbędna przy żniwach i innych pracach polowych.

- 1920 r. powstaje Polskie Biuro Podróży „Orbis”
- 1927 r. na kolonie wyjeżdża 400 tys. polskich dzieci
- 1939 r. powstaje PLL „LOT”
- 1945 r. powstaje Fundusz Wczasów Pracowniczych
- 1965 r. ponad 1 mln dzieci spędza lato na koloniach
- 1975 r. szczytowa popularność programu kolonii: 7,6 mln dzieci tak spędziło
- 2019 r. po dwóch dekadach gospodarki rynkowej i dostępności wszelakich form wypoczynku liczba „kolonistów” to nieco ponad 773 tys.

Wyjazd nad morze był marzeniem wielu Polaków



Fot. [NAC](#)

W 1967 r. Fundusz Wczasów Pracowniczych dysponował ok. 52,8 tys. miejsc wczasowych w 116 miejscowościach w Polsce.



Fot. NAC

W wielu rodzinnych albumach są podobne fotografie z wakacji



Fot. NAC

Jedną z opcji urlopowych był wypoczynek na łonie natury, pod namiotem



Fot. NAC

[Na sypialnie dla kolonistów adaptowano szkolne klasy](#)



Narodowe Archiwum Cyfrowe

[Fot. NAC](#)

UWAGA

Informacje opublikowane przed 1 stycznia 2021 r. dostępne są na stronie archiwum.mazovia.pl